

Ljuben Dilov Jeszcze o Delfinach

Ostatnio publikowane są często różne doniesienia o życiu delfinów, tak naukowe, jak i pseudonaukowe, o próbach, które podejmuje człowiek, aby zgłębić świat tych zagadkowych istot. Związek Radziecki wystąpił nawet z apelem o przerwanie połowów delfinów i to wielkie społeczne zaangażowanie ostatecznie przekonało mnie, że nie mam już dłużej prawa ukrywać tego, czego dowiedziałem się o nich kilka lat temu w okolicznościach na pozór zupełnie nieprawdopodobnych. Nie wspominałem o tym do tej pory, bo obawiałem się, że zostanie przez to nadwreżona moja dziennikarska reputacja. Dziś również nie wiem, ile prawdy mieści się w tej historii, i dlatego nie pozwalałem sobie na podawanie nazwisk ludzi w nią zamieszanych. Mógłbym je ujawnić tylko pod warunkiem, że nauka w dostatecznym stopniu zainteresowałaby się tą sprawą.

Znajdowałem się wtedy na drugiej półkuli. Skończyłem pracę, w związku z którą mnie wysłano, i pragnąc zobaczyć na tym świecie ile tylko można, zdecydowałem, że za wszelką cenę muszę wykapać się również w Oceanie Spokojnym. Przyznajcie sami: być tylko o tysiąc kilometrów od niego i nie zobaczyć go, kiedy od dzieciństwa kołysaliście się na falach jego tajemniczej sławy w łódce swych marzeń? Pamiętacie powiedzenie o Rzymie i papieżu... Tak rozumując, z samozaparciem przesypałem połowę zaoszczędzonych pieniędzy do kasy linii lotniczych i już po kilku godzinach znalazłem się w tym mieście, które słusznie nazywają perłą, królową itp. oceanu, wybrzeża, kontynentu...

Rzeczywiście wspaniałe miasto! Ale te trzy dni, które spędziłem w nim, chyba nie wbiłyby mi się w pamięć tak silnie, gdyby nogi, uginające się pode mną od biegania po muzeach i zabytkach, nie zaprowadziły mnie przypadkowo do auli miejscowego uniwersytetu. Właśnie odbywało się tam posiedzenie

międzynarodowego kongresu ichtiologów Oceanu Spokojnego, a legitymacja dziennikarska pozwoliła mi zająć fotel w najciemniejszym kącie galerii. Można było na nim nawet pospać nie będąc zauważonym, ale nie chciałem spać, tylko gdzieś odpocząć, nie sięgając do swoich zastraszająco topniejących rezerw finansowych. I oczywiście chciałem posłuchać, jeśli by mi na to pozwoliło zmęczenie.

Nie mogę powiedzieć, żebym miał słabość do ichtiologii, ale jako dziennikarz wyznaję świętą zasadę, że nie należy nigdy unikać możliwości dowiedzenia się czegoś, czymkolwiek by to było. A wykąpany już w Oceanie Spokojnym, dlaczego nie miałbym dowiedzieć się czegoś o jego rybach?

Przekartkowałem program, który portier wręczył mi przy wejściu, obejrzawszy z wielkim zdziwieniem i szacunkiem moją legitymację dziennikarską - zapewne byłem jedynym dziennikarzem z "drugiego świata" - i wyprostowałem się w fotelu. Poczulem, że pulsowanie w stopach ustało, że zmysły, obrazowo mówiąc, oprzytomniały jak nagle przebudzony człowiek, który przeciera oczy, aby przepędzić zmęczenie, i wyostrza słuch. Nazwisko prelegenta, który właśnie wychodził na trybunę, było bardzo znane. Przypadek sprawił, że mogłem zobaczyć i usłyszeć najcenniejszego specjalistę, pioniera w dziedzinie badania delfinów, dyrektora największego wówczas na świecie akwarium oceanicznego.

Wiedziałem coś niecoś o tym człowieku z czasopism popularnonaukowych. Zaczął on badać delfiny przed trzydziestoma laty, poświęcając na to cały swój majątek, nie otrzymując znikąd pomocy. Z własnych środków wybudował niedaleko miasta dwa małe baseny dla swoich wychowanków i przez długie lata Jedynymi jego dochodami były grosze zwiedzających, którzy przychodzili pogapić się na sztuczki kilku wytresowanych przez niego delfinów. Namiętnymi artykułami i przekonującymi argumentami naukowymi zdołał w końcu zainteresować pewne instytuty, skierować uwagę ludzi na te

dziwne istoty, które jako jedyne na Ziemi objawiają miłość i zainteresowanie w stosunku do człowieka. Teraz profesor doktor J.N. był ogólnie uznanym autorytetem i ludzkość w napięciu oczekiwała od niego znalezienia zadowalającego sposobu, który pozwoliłby nam przeniknąć do zagadkowego świata delfinów. Poszukiwania jego szły w trzech kierunkach: było to badanie ich mózgu metodami anatomii porównawczej, biochemii, biofizyki i neurofizjologii, badanie języka delfinów i uczenie samych delfinów mówienia ludzkim językiem. Zresztą w tych kierunkach rozwija się obecnie na całym świecie nauka o delfinach - jeśli w ogóle można już mówić o jakiejś delfinologii, ponieważ niestety ciągle jeszcze bardzo niewielu poważnych uczonych pracuje w tej dziedzinie, ciągle jeszcze to, co się publikuje w prasie, jest raczej spekulacją i sensacyjnym hałasem niż owocem prawdziwej nauki.

Profesor oświadczył, że nie będzie zajmować szanownego audytorium rzeczami, które wszystkim są już znane, a jedynie poda do wiadomości ostatnie wyniki swoich badań. Pozwolił sobie jednakże zrobić coś, na czym prawdopodobnie zaciążyły lata, kiedy był on w większym stopniu propagatorem tej sprawy niż uczonym posiadającym duży dorobek - przynajmniej tak mi się zdawało. Prawie cyrkowym gestem dał znak swojemu asystentowi i oznajmił:

- Posłuchajmy najpierw pozdrowień od naszych morskich przyjaciół dla szanownych uczestników kongresu ichtiologów!

Asystent włączył magnetofon leżący na stole prezydyjnym i uniwersytecka sala wypełniła plusk jakichś ciał spadających do wody z krzykiem, piskiem, bulgotaniem, poszczekiwaniem. Potem hałasy te oddaliły się i na ich ściszonej tle rozległo się wyraźnie i niedwuznacznie:

- Cień tobry, pchrzyjaciele lucie. Szyczymy stroffia i sukchcesóff. Cień tobry, pchrzyjaciele lucie. Szyczymy stroffia i - tu nastąpiła długa seria dźwięków, cichych i pieszczotliwych, jakby ktoś komuś wyznawał miłość w niezrozumiałym dla nas języku.

Gdyby słowa te wypowiedział człowiek z wadą wymowy, przyjęlibyśmy to w najlepszym wypadku jako zabawne zdarzenie. Ale to naprawdę nie był głos ludzki i setki dostojnych reprezentantów ludzkości, którzy wypełniali tę ogromną salę, zamarło. Tylko profesor J.N. uśmiechał się triumfująco i tak samo triumfująco powiedział w zupełnej ciszy:

- To był delfin Moro. Zapraszamy wszystkich jutro do akwarium oceanicznego, gdzie osobiście powie on państwu jeszcze...

Ale w tym momencie, kiedy wreszcie powinny były rozleć się oklaski, na parterze ktoś zawołał donośnie:

- Hańba! To jest szydzenie z istot, które stają wyżej od nas. Jest Pan morderca! Morderco, przerwij swoje zbrodnie! Morderca, morderca...

Tak się wychyliłem przez balustradę, że do tej pory nie wiem, jak to się stało, że nie wypadłem z balkonu na dół, gdzie doszło do zupełnego zamieszania. Jednak zdołałem zobaczyć wśród wzburzonego tłumu wyliniałych uczonych głów wicherzyciela, który szarpał się w rękach dwóch porządkowych i ciągle jeszcze wykrzykiwał swoje skandaliczne "Morderca!", jakby smagając biczem. Potem tak jak nieoczekiwanie wybuchnął, tak nagle zamilkł i potulnie pozwolił się wyprowadzić.

Oczywiście wyskoczyłem na zewnątrz takich okolicznościach prawdziwy dziennikarz nigdy nie pozostaje na swoim miejscu - stało się to w samą porę, bo on już oddalał się, odprowadzany pełnym niedowierzaniem wzrokiem porządkowych, którzy być może jeszcze zastanawiali się, czy nie należało wezwać policji, lub też właśnie żalowali, że jej nie wezwali.

- Proszę Pana - zatrzymałem go. Przepraszam Pana...

Teraz już nie pamiętam, co jeszcze powiedziałem, aby zyskać jego zaufanie. Ale na zawsze zapamiętałem sobie jego twarz w tym momencie. Była to podłużna, woskowożółta twarz męczennika z prawosławnej ikony, która do tej pory jeszcze drgała od opanowanego już wzburzenia. Rysowały się na niej duże,

przezroczyście-zielone oczy - dwa iskrzące się okruchy Oceanu Spokojnego. Miał na sobie bardzo znoszone, ale czyste bawełniane ubranie i łatwo można by go było zaliczyć do wyniszczonych biedą i bezrobociem mieszkańców dużego miasta, gdyby cała jego ascetyczna sylwetka nie zachowywała wyniosłej godności świętych z ikon.

- Nie wierzę dziennikarzom - powiedział mi bezceremonialnie. - Próbowałem również z nimi. Niektórzy zdołali zrozumieć prawdę, ale nie ośmielili się napisać o niej, bo bali się urazić ludzi lub bali się, że będą ich uważać za szalonych. Do tego trzeba mieć siłę. Wiele siły potrzeba, aby znieść taką prawdę!

Wyjaśniłem mu ostrożnie, że nie jestem jednym z miejscowych dziennikarzy, że ponad wszystko cenię prawdę; że darzę dużą sympatią te morskie istoty i tak dalej, i tak dalej. A on najwyraźniej starał się przeniknąć mnie swymi oczami jak Ocean Spokojny i po krótkim wahaniu powiedział:

- No, dobrze! Zapyta Pan profesora o mnie, on Panu powie, że jestem wariatem, i nie obrażę się, jeśli zdecyduje się Pan zrezygnować. Przyjdę wieczorem. W jakim Pan jest hotelu?

Zmieszałem się, bo odgadł moje zamiary, więc zapewnilem go nie tyle przekonująco, co gwałtownie, że nie ulegam cudzemu zdaniu i że na pewno będę na niego czekać.

Przyszedł, kiedy to wspaniałe miasto rozпалиło się tęczowymi płomieniami niezliczonych reklam świetlnych. Zapytał mnie z wyzywającą ironią:

- No i co Panu powiedział N?

Nie było sensu wypierać się rozmowy z profesorem - bardzo długiego wywiadu, który wypełnił cały mój notatnik cennymi myślami i ciekawymi dla nauki faktami; każda gazeta chętnie zamieściłaby go jako gwóźdź numeru. Profesor był dla mnie więcej niż uprzejmy i przypuszczalnie zawdzięczałem to swojej legitymacji dziennikarskiej z "drugiego świata" .

- On bardzo żałuje, że stracił takiego asystenta jak Pan. Jak twierdzi, był Pan jego najlepszym współpracownikiem - odpowiedziałem delikatnie, ale jego uśmiech rozdrażnił mnie, zdobyłem się na odwagę i dodałem: - Powiedział mi jeszcze, że nagle opanowała Pana jakaś mania prześladowcza i pewnej nocy, w czasie silnego rozdrażnienia, wypuścił Pan do oceanu wszystkie jego delfiny. Ale on nie ma tego Panu za złe, mimo że opóźnił Pan w ten sposób rozwój nauki o całe lata...

- Kiedy zrozumie, że jego nauka prowadzi donikąd, zupełnie nie będzie miał mi tego za złe - odpowiedział. - I co Pan zdecydował? Pójdzie Pan ze mną?

- Nie mam podstaw, aby nie wierzyć uznanemu przez cały świat uczonemu odpowiedziałem trochę urażony.

- Sam Pan życzył sobie dowodów przeciwko niemu - odpowiedział z rozbrajającym spokojem. - Nie narzucałem się Panu, a i to, co zdarzyło się dziś, nie było żadną demonstracją, ja... ja po prostu straciłem panowanie nad sobą, kiedy stałem się świadkiem takiego bestialstwa... Więc, chciałem powiedzieć... nie będę Pana więcej nudzić!

- Niech Pan poczekał - zatrzymałem go zupełnie nieświadomie, bo istotnie od dłuższego czasu zacząłem wątpić w sens pierwotnego zamierzenia, nie tylko dlatego, że rozmawiałem z profesorem. - Gdzie Pan chce mnie zaprowadzić?

- Do delfinów. Aby wysłuchał Pan również drugiej strony w tym sporze.

- Abym wysłuchał... czego? - Nie, w głowie tego człowieka rzeczywiście nie wszystko było w porządku!

- Proszę pójść ze mną - poprosił cicho, jakby wystrzegając się wszelkiej natarczywości. - Zapewniam Pana, nie będzie Pan żałować.

Gdyby bronił swojej tezy z fanatyczną pasją, gdyby zaatakował profesora, pewnie bym się nie zgodził, ale temu smutnemu

spokojowi nie można było się przeciwstawić.

- Weźmy taksówkę - zaproponował tym samym proszącym głosem. - Teraz księżyc wczesnie zachodzi i nie będziemy mieli zbyt dużo czasu, a musimy pojechać dalej od ludzi.

"No, tak! - powiedziałem sobie. Czy może się obejść bez księżycy obowiązkowej dekoracji wszystkich tych głupstw, które mają być uznane za tajemnicze lub romantyczne!" Oczywiście złościłem się na siebie, a to nie pozwoliło mi uprzytomnić sobie, że to ja miałem płacić. Dopiero jak wyjechaliśmy za miasto, usłyszałem bezlitosne tykanie licznika i ścierpłem. Usłyszałem je, bo milczeliśmy, przez cały czas milczeliśmy. Zacząłem sobie wyrzucać, że wyjechałem (i to taksówka!) podkuszony przez wariata, lecz nagle ta właśnie myśl mnie zmroziła: "Wariat? A jeśli mnie napadnie? Teraz jest spokojny, ale... jak zostaniemy sami? I jeśli zdradzę swoje niedowierzanie wobec jego manii?"

Próbowałem przypomnieć sobie jakiś chwyt dzudo, którego uczyłem się w młodości, rzucając od czasu do czasu zdenerwowane spojrzenie na kiwającą się obok w ciemnościach postać mojego przewodnika, ale zawstydzilem się - siedział ze splecionymi jak w modlitwie rękoma, a ręce te bieleły w ciemności i emanowała z nich dobroć.

- Dlaczego Pan milczy? - krzyknąłem chrapliwie. - Proszę mówić! Niech mnie Pan przygotuje do tego, co zobaczę!

Czy spał? Czy modlił się naprawdę? Czy wpadł w jakiś trans! Trzeba było go zmusić do mówienia, bo jego milczenie i ten przeklęty licznik doprowadzały mnie do szału.

- Poważnie mówi Pan, że profesor N. nie lubi delfinów? Przecież on całe swoje życie i cały swój majątek im poświęcił! Z taka pasją ich broni! Przez całe długie lata sam przeciw całemu światu!

- Przepraszam Pana - odezwał się tamten, budząc się jakby pod wpływem moich pytań. - Wie Pan, kiedy jadę do naszych przyjaciół, muszę się przygotować, uwolnić swoją duszę od rzeczy, które przeszkadzają. Czy pytał mnie Pan o coś?

- Tak - odpowiedziałem ostrożnie. Pytałem Pana, czy jest Pan wierzący. Bo ja jestem ateistą z przekonania.

- Ani w Boga, ani w diabły nie wierzę! - odpowiedział. - Ale pytał pan o coś Innego. Zdaje się, że było to coś związanego z sympatią do delfinów. Widzi pan... - Wydawało mi się, że znów się uśmiecha z łagodną ironią, ale w samochodzie było zbyt ciemno, żeby to stwierdzić. Fosforyzujące światło tablicy rozdzielczej za ledwie zarysowywało ascetyczne kontury jego twarzy. Tak, na przykład, nie znam Pana, ale powiedzmy, że Pana lubię, i aby Pana poznać, najpierw rozpruję Panu brzuch, żeby zobaczyć, jak Pan wygląda w środku, później rozbiję Panu czaszkę i powpycham do mózgu różne elektrody, potem będę Pana podrażniać prądem elektrycznym lub nakłuwać igłami i różnymi innymi przyrządami, a do tego wszystkiego z kijem w rękę będę Pana zmuszać do uczenia się języka Marsjan, jeśli taki istnieje, oczywiście. Jak by Pan się odniósł do takiej mojej sympatii?

Chciałem jeszcze na samym początku przerwać mu: "Znany mi jest maniackalny program towarzystw opieki nad zwierzętami", ale znów się powstrzymałem. Kiedy wariat zaczyna ci mówić o rozpruwaniu brzucha i innych takich rzeczach, mimo że wypowiada to tonem najniewinniejszym, musisz trochę ostudzić swój zapał do dyskusji.

On oczekiwał, że coś powiem, ale nie doczekał się.

- Szczególnie, jeśli robię to wówczas, kiedy istnieje zupełnie prosty sposób wzajemnego poznania się: kiedy mogę pana zapytać, a pan może mi odpowiedzieć, co pan wie o sobie.

Trzeba było wreszcie coś powiedzieć, więc westchnąłem demonstracyjnie głośno;

- No, tak, jednak delfiny, niestety, nie mogą opowiedzieć!

- Mogą! - sprzeciwił się gwałtownie, podrywając się ze swego miejsca. Mogą! I my jesteśmy w stanie je zrozumieć!

Zaczynało się? Na szczęście ciągle jeszcze byliśmy w

samochodzie i kochany licznik w dalszym ciągu cykał gdzieś za masywnymi plecami kierowcy.

- Co? - ledwo wydarło mi się ze ściśniętego gardła i on oczywiście mnie nie usłyszał, ale znów siedział, oparty, na swoim miejscu, kontynuując spokojnie jak przedtem:

- Czy wie Pan, kiedy uznano mnie za wariata? Kiedy nauczyłem się rozmawiać z delfinami - było to coś, co niewielu robiło przede mną, głównie rybacy, ale ci starzy, dla których morze jest życiem, a nie fabryką ryb...

Przypomniałem sobie, że mój przyjaciel Boris Aprilov stykał się z takim rybakim w swoich włóczęgach po wybrzeżu Morza Czarnego; napisał małe opowiadanie o nim, ale sam patrzył na ten swój utwór jak na obraz poetycki o pewnym poczciwcu niespełna rozumu, którego nie zepsuta przez cywilizację dusza zachowała zdolność obcowania z przyrodą. Już miałem o tym powiedzieć, ale mój nocny przewodnik mówił dalej w uniesieniu:

- To było wtedy, kiedy siłą je wyciągnąłem, jednego po drugim i wpuściłem do oceanu.

- Siłą?

- Tak, ona są tak dobre i darzą nas miłością tak pełną poświęcenia, że nie chciały opuścić akwarium, Niektóre nawet wróciły, kiedy pobyły trochę z tamtymi. Krążyły wokół brzegu, aż wyszli ludzie profesora. Same pchały się w ich sieci.

- To znaczy, że było im dobrze u profesora - powiedziałem, wystrzegając się jakiegokolwiek ironii, bo ta zbzikowana gadanina mogła poprzedzać jakiś atak szału.

- A to dobre! Przecież mówię Panu, że gotowe są znosić wszelkie cierpienia, abyśmy byli zmuszeni zauważyć ich dobrą wolę, abyśmy je zrozumieli.

- Naprawdę? - powiedziałem słabym głosem, myśląc, że w ten sposób ukryję niedowierzanie. - A jak Pan się nauczył rozmawiać z nimi?

- Przed chwilą wyraziłem się nieściśle - odpowiedział z ożywieniem. Nie nauczyłem się, ale nagle zrozumiałem, że rozmawiam z nimi. Zdarzyło się to pewnej ciepłej nocy, kiedy księżyc świecił duży i jasny - to jedna z takich nocy, kiedy trudno jest spać. Byłem zupełnie zrozpaczony z powodu tysięcy nieudanych prób zrozumienia czegokolwiek z tych pięćdziesięciu dźwięków, które wydawali nasi wychowankowie i które niezmordowanie zapisywałem na taśmie magnetofonowej; więc wyszedłem, żeby się przejść, mimo że padałem ze zmęczenia przez cały ten gorący letni dzień. Przysiadłem obok jednego z basenów i westchnąłem: - Moi mili, moi kochani, powiedzcie mi, jaki jest ten wasz język, co nim do nas mówicie, jakie myśli przekazujecie, czy my jesteśmy tak głupi, że już dziesięć lat nie możemy odgadnąć sensu tych waszych pięćdziesięciu słów?

Woda była zupełnie gładka, bo wcale nie było wiatru, a dwie pary delfinów, które żyły w tym basenie, spały pewnie gdzieś w którymś rogu - przy nas i one nauczyły się spać nocą. Przecież w dzień nie dawaliśmy im spokoju. Więc... patrzyłem na wodę i tak sobie wzdychałem, kiedy nagle pod nogami zobaczyłem wynurzający się z wody pysk Nikiego. Poznałem go, bo było bardzo jasno. I powiedziałem mu: Obudziłem cię, Niki? Przepraszam, mój mały, zaraz sobie pójdę!

Ale wtedy nagle usłyszałem, jak mi odpowiada:

"Zbudziło mnie twoje cierpienie, przyjacielu". Nie wierzyłem własnym uszom, ale też zdawało mi się, że nie słyszałem tego uszami. Powtórzyłem te same słowa trochę głośniejszym głosem i znów przyszła odpowiedź, tym razem ze zmienionym szykiem wyrazów: "Twoje cierpienie mnie obudziło, przyjacielu". Teraz już poczułem, że słyszę to wewnątrz siebie, nie jako dźwięki, ale niemniej jasno i dźwięcznie. Oniemiałem, a w głowie zaczęły mi się kłębić zupełnie oczywiste myśli: czy to możliwe, jak to, nie, na pewno się mylę, czyżbym miał halucynację, czy już zwariowałem, stary, idź, łyknij coś na sen... i tak dalej. A jednocześnie ktoś uporczywie mówił mi: "Dlaczego cierpisz, przyjacielu? Nie wolno

ci cierpieć! Przecież już mnie rozumiesz. Jestem tym, którego nazywacie Niki. Imię to z początku brzmiało mi trochę głupio, ale później je polubiłem, bo zrozumiałem, że przyjemnie jest wam tak mnie nazywać. Boisz się, a nie wolno ci się bać, przyjacielu, od dawna starałem ci się powiedzieć to wszystko, ale twoja myśl ciągle uciekała ode mnie, a teraz, patrz, zatrzymała się i słyszysz mnie. Prawda, że mnie słyszysz?" .

- Słyszę cię, Niki - powiedziałem mu, ale może sobie Pan wyobrazić, jak to powiedziałem, co czułem, prawda? A on mówił dalej: "Nie pozwól, żeby twoja myśl uciekła teraz ode mnie i od ciebie samego, przyjacielu! Nie pozwól jej uciec, a będziemy mogli rozmawiać. Mamy sobie tyle rzeczy do powiedzenia, prawda? Ty sam wiesz, ile rzeczy mamy sobie powiedzieć,..". I nie pozwoliłem jej uciec. I całą noc rozmawialiśmy z Nikim. Opowiedział mi wszystko, co wiedział o sobie i o delfinach, a ja opowiedziałem mu wszystko, co wiedziałem o sobie i o ludziach. Ala okazało się, że nic nie wiedziałem o delfinach, mimo że już dziesięć lat przyjaźniłem się z nimi i badałem je, a Niki wiedział wiele o ludziach, przy tym wiedział o nas rzeczy, których ja nie znałem, ale które zrozumiałem następnego dnia, kiedy zastanowiłem się nad wszystkim.

Następnej nocy, proszę Pana, znów rozmawiałem z Nikim i zapytałem go, czy mogę pomówić z innymi delfinami. Powiedział mi, że mogę rozmawiać ze wszystkimi delfinami w oceanie, bo i one w ten sposób ze mną rozmawiają, a nie za pomocą tych pięćdziesięciu dźwięków, które miały być pozostałością jakiegoś dawnego sposobu porozumiewania się. Wyrywają się im one instynktownie, są czymś takim, jak kapryśne pokrzykiwanie dzieci i dobrze wychowany delfin stara się ich unikać, nie są one zbyt na miejscu. W basenie jednak delfiny specjalnie używają tych dźwięków tak często, męcząc swe szczątkowe struny głosowe, bo ludzie zdradzają wielkie zainteresowanie nimi i być może właśnie z ich pomocą zdołają wreszcie wejść w jakiś kontakt z myśleniem delfinów. Wtedy poszedłem do innych basenów i podczas drugiej i

trzeciej nocy rozmawiałem ze wszystkimi delfinami po kolei. A piątej nocy nie wytrzymałem - wszystko to, co usłyszałem, doprowadziło mnie do szaleństwa i wypuściłem delfiny do oceanu. Nie mogłem ich pozostawić ani na chwilę dłużej w basenach i patrzeć, jak profesor N. je męczy, a one ze wszystkich sił starają się dopasować do jego bestialskich metod badawczych. Tak to się zaczęło, proszę pana i jeśli ma pan dobrą wolę i jest Pan uparty, mógłby się Pan sam przekonać, że to, co Panu powiedziałem, jest prawdą.

"Znana historia - powiedziałem sobie. - Schizofreniczne rozdwojenie jaźni. Znasz to przynajmniej z książek!" Ale stwierdzenie to, oczywiście, nie było w stanie znieść moich obaw. W napięciu, bezskutecznie szukałem sposobu, aby wymknąć się z niebezpiecznego położenia, kiedy usłyszałem cichy śmiech człowieka siedzącego obok.

- Czy wie Pan, że i ludzie mogą ze sobą tak rozmawiać? Wystarczy, że tego chcą i że trochę poćwiczą. Chce Pan, żebym Panu powtórzył, co mi Pan powiedział przed chwilą? Powiedział Pan: "Znana historia. Schizofreniczne rozdwojenie jaźni". Znów się zaśmiał, ale szybko się usprawiedliwił: - Niech Pana mój śmiech nie obraża, proszę Pana to. Ale zdaje się, że Chciał Pan, żeby szofer się zatrzymał.

Niech się zatrzyma, już jesteśmy blisko. A i ten przekłety licznik - położył nacisk na to moje sformułowanie - kto wie, ile już wybił, a Pan się niepokoi, bo nie ma Pan wystarczająco dużo pieniędzy. Strasznie mnie gnębi to, że nie mogę zapłacić, niech mi Pan wierzy! Ale człowiekowi, który był zamknięty zupełnie niesłusznie w szpitalu dla obłąkanych, trudno jest znaleźć pracę. Na razie karmią mnie delfiny...

Nie pamiętam, czy w ogóle zareagowałem w jakiś sposób - czy możesz zareagować, kiedy ktoś tak nagle powtórzy ci twoje myśli! - Ale on krzyknął do szofera, żeby się zatrzymał. Wychylił się przede mną i grzecznie otworzył mi drzwi, a wykorzystując to zbliżenie szepnął:

- Bardzo Pana proszę, niech się Pan uspokoi, bo inaczej nie będzie Pan miał korzyści z naszej wycieczki. Znam lepiej od Pana psychiatrię, specjalnie ją studiowałem.

W jakimś prawie somnambulicznym stanie odliczyłem sumę "wybitą przez przekłety licznik", później znalazłem się na środku szosy, pod gwiazdami i księżycem, który stworzył skrzącą się szosę na oceanie, a szosa ta miała początek w moich oczach i prowadziła przez horyzont na Księżyc albo może na Słońce, albo też aż do środka Wszechświata. A ktoś chciał mnie pociągnąć po tej szosie, mówiąc mi spokojnie i sugestywnie:

- Dobrze, że Pan kazał zatrzymać taksówkę, strasznie jest droga! Wrócimy pieszo, noc jest piękna i zrobimy sobie wspaniały spacer. Pan jest dobrym człowiekiem, dlatego się Panu zwierzyłem. Wie Pan, od delfinów nauczyłem się też poznawać ludzi i rzadko się myślę, bo nauczyłem się słyszeć to, co nieraz mówią do siebie...

Zeszliśmy już z szosy i potykałem się o przybrzeżne kamienie, a on trzymał mnie pod rękę i pewnie dlatego nie upadłem, ani razu, mimo że ciągle nic nie wiedziałem, oślepiiony blaskiem księżycowej nocy, ogłuszony potężnym, nierównomiernym dudnieniem przyływu.

- Proszę tu usiąść! - powiedział mój przewodnik .i usiadłem jak zahipnotyzowany.

Przede mną marszczył się i dudnił Ocean Spokojny. Ale teraz nie był to ten ocean, o którym marzyłem jako dziecko, ani ten, w którym pływałem wczoraj. Była to żywo masa, bez początku i końca, która falowała, rozcięta na dwie części księżycowym nożem. Hipnotyzowała mnie miliardami srebrnych oczu i wołała głosami miliardów istnień, zlewających się w jedno apokaliptyczne pragnienie i nieodwołalnie szła do mnie, a ja szedłem do niej z uczuciem, że wracam dokądś skąd wiele, wiele lat temu ktoś siłą mnie wyciągnął. "Idęę! - krzycało wszystko we mnie. - Idęę; idęę!" - to Wszystko drżało zwycięsko, czując

że jest oczekiwane i słyszane, że jego krzyk sięga aż do drugiego końca drogi księżycowej, do Księżyca albo do Słońca, albo też do środka Wszechświata.

- Słyszysz mnie -Pan? Proszę się opanować, niech mnie Pan słuchał

Mój, przewodnik, nachylony nade mną, silnie potrząsnął mnie za ramię.

- No? - powiedziałam. - Dotarliśm.!

- Tak - powiedział i zorientowałem się, że pytałem go o inny cel, bo od dawna siedziałem na skale, a skała pode mną była chłodna i twarda.

- Teraz je zawołam - powiedział. - Ale nie wolno Panu robić niczego, co mogłoby je obrazić. Proszę nieruchomo siedzieć i słuchać! Proszę słuchać mnie i samego siebie. Później będzie się Pan zastanawiać, teraz przede wszystkim musi Pan wierzyć! - mówił wyjątkowo głośno i sugestywnie, ale może chciał tylko przekrzyczeć szum przyływu. - Musi Pan wierzyć, słyszysz Pan! Wierzyć w to, co usłyszysz Pan w sobie. Nie jest to żaden cud ani autosugestia; jest to jakby rozmowa z samym sobą. Kiedy będzie Pan chciał o coś zapytać, zapyta Pan samego siebie. Ale to nie jest wcale łatwe. Musi Pan być absolutnie szczery, tak szczery, jak tylko bardzo rzadko człowiek może być szczery, nawet z samym sobą. Bo najtrudniej jest nam, ludziom, wyzwolić się od udawania i okłamywania samych siebie, od pochlebiania sobie, a przede wszystkim od mitów, którymi społeczeństwo wypełniło nasze mózgi. Ale teraz będzie Pan musiał strząsnąć z siebie to wszystko, będzie Pan rozmawiał z delfinami. Bo wygląda na to, że jest to język Wszechświata lub język życia we Wszechświecie. My też go znamy, każdy człowiek ma go w swych komórkach, ale on tak rzadko odzywa się w nas, że przestaliśmy go rozumieć. Dlatego właśnie musi Pan po prostu uwierzyć w niego, uwierzyć!

Ostatnie słowo przesylabizował i każda z sylab jak gdyby uderzała o moją pierś, tak jak fale uderzały w skałę pode mną.

Skala dudniła i drżała od uderzeń, a każda komórka mojego ciała drżała i łomotała od głosu oceanu. Później mój nocny przewodnik odszedł i zatrzymał się przy samym brzegu, z twarzą zwróconą ku tej zdumiewająco żywej, marszczącej się i przemawiającej masie bez początku i końca. I zobaczyłem, że on już nie jest człowiekiem ani obłąkańcem, ale jest częścią tej masy, ciemną, zastygłą falą, pojedynczym mięśniem lub komórką, która wydawała takie samo przeciągłe wołanie, pełne przewidywanej tęsknoty za zespoleniem się, tęsknoty wyrwanej z odchłani oceanu przeciętego nożem księżycowym. Siedziałem, słuchałem tego i nie wiedziałem już, czy ten krzyk wychodzi od niego, czy też jest po prostu wszędzie - w czarnym niebie nad moją głową, w czarnej skale, na której siedziałem, w dwóch czarnych częściach oceanu.

"Czekałem na ciebie - usłyszałem nagle w tym krzyku. - Ale ty się spóźniłeś".

„Wybacz! - odpowiedział ktoś. Ale nie jestem sam".

"Widziałem. Kto jest z tobą?" "Pewien człowiek, który również was kocha".

"Nie, on nas nie kocha. On się boi". "Tak, on się jeszcze boi, ale jest dobrym człowiekiem. Gdzie jest reszta was?"

"Będę tu później. Popłynęli, aby złowić dla ciebie ryby".

Ciągle siedziałem, wpatrując się w nieruchomą postać, pochyloną nad oceanem i słuchałem obu głosów, które były absolutnie jednakowe, ale jednak były to dwa głosy. Później mój przewodnik odwrócił się nagle, a ja drgnąłem i przestałem je słyszeć.

- Pierwszy przyplynał - powiedział.

- Zorientowałem się - odpowiedziałem. - Słyszałem waszą rozmowę.

- Naprawdę? To wspaniale! A widział Pan go? O, jest tam!

Uniosłem się nieco, nie wstając całkowicie z miejsca i wyciągnąłem szyję - duże, czarne, lśniące ciało kołysało się na

spokojnych falach przyływu i niesione nim przybliżało się do mnie. Wydawało mi się, że zauważyłem jego srebrzyście błyszczące oczy, ale nie byłem tego pewien.

- Niech mu Pan powie - powiedziałem - że się ich nie boję i że naprawdę je szanuję!

- Dobrze - odpowiedział z wahaniem mój przewodnik, a ja wyostrzyłem słuch, wyostrzyłem aż do bólu.

- Słyszał Pan odpowiedź? - zapytał mnie po chwili.

- Nie - powiedziałem.

- Bo nie powiedział Pan tego sobie. Przecież uprzedziłem Pana, że musi Pan być szczery!

- Co on odpowiedział?

- Że Pan się teraz boi. te boi się Pan oceanu, mnie, tego, z czym one przyływają, tego, co jest w Panu i co wzbiera w Panu, aby wyjść z Pana i połączyć się z tym, co jest w nich.

Zacisnąłem mocno powieki i ciemność weszła we mnie z łoskotem, po którym nastąpiła nagle i absolutna cisza. Ale nie była to tylko cisza - były to jednocześnie cisza i ciemność, i przestrzeń, które rosły, powiększały się i zmieniały we mnie w jakąś niepodzielną nieskończoność, w ten absolut, który istnieje zapewne tylko między galaktykami. A w tej nieskończoności międzygalaktycznej usłyszałem swój głos:

- Czy naprawdę się boję?

"Tak, boisz się - odpowiedział mi inny głos, ale był on tak samo niemożliwy do odróżnienia od mojego, jak cisza od ciemności, od przestrzeni. Boisz się, bo nie znasz tej siły, bo nigdy nie pragnąłeś jej zobaczyć ani w sobie, ani poza sobą".

- Pewnie nie mogłem - powiedziałem.

"Nie, zawsze mogłeś ją zobaczyć. Ale inni ludzie, którzy tak, jak ty nie ośmielili się jej uznać za swoją, od początku twierdzili, że nie jest ludzka, a potem, kiedy zupełnie w nich zanikła, w ogóle

zaprzeczyli temu, że istnieje. I ty również uwierzyłeś, że jej nie ma, ale teraz czujesz jej obecność w sobie i boisz się".

- Tak jakbym się już nie bał - powiedziałem i dalej ścisnąłem pod powiekami ciemność, ciszę - przestrzeń.

"Tak, teraz już się mniej boisz powiedział. - I możemy stać się przyjaciółmi. Przestałeś być człowiekiem w waszym sensie tego słowa, człowiekiem-ciałem, a ja dla ciebie nie jestem już zwierzęciem, więc będziemy mogli się zrozumieć".

- Ale czym w takim razie jesteśmy? - zapytałem, drżąc w oczekiwaniu. "Nie wiem" - parsknął. Nie otwierając oczu zobaczyłem, że skacze wesoło ponad falami, tak jak to mają zwyczaj robić delfiny.

- Myślałem, że będziesz wiedział, skoro uważacie się za mądrzejszych od nas.

"Na razie wiemy tylko, czym nie jesteśmy i czym być nam nie wolno. A wy, niestety, nie doszliście jeszcze do tego".

- Skoro jesteśmy przyjaciółmi, nie powinniśmy obrażać siebie nawzajem, prawda? - naburmuszyłem się w tej swojej międzygalaktycznej nieskończoności.

"To nie jest obraźliwe. Mówię ci moje prawdy, a ty mi powiesz swoje. Tak rozmawiają przyjaciele".

Starłem się znaleźć jakąś swoją prawdę, aby mu powiedzieć, ale nie potrafiłem; jak gdyby wszystkie moje prawdy przeobraziły się w ciemność, ciszę i przestrzeń. Dlatego zapytałem:

- Wobec tego, dlaczego nas kochacie?

"Czy możesz nie kochać swego młodszego brata, kiedy błądzi?"

- To jest jedna z waszych prawd, czy tak?

"Tak" - odpowiedział i zrobił obrót w powietrzu.

"Dwa i dwa jest cztery" - powiedziałem nagle.

"Co to jest?"

- Jedna z naszych prawd.

"Nie rozumiem jej" - wymamrotał nieśmiało.

"Witaj przyjacielu! Ja ją znam. To jest wasz sposób liczenia, prawda? Największe wasze oszukaństwo!"

- Witaj! - odpowiedziałem - Dlaczego oszukaństwo? Do tej pory rozmawiałem z jednym delfinem, teraz przypląnąłeś i ty. Jeden delfin i jeden delfin to dwa delfiny.

"Nie, jest tylko jeden delfin i... delfiny. Tak jest ze wszystkim".

- Aha! - powiedziałem tryumfująco. - Dla was istnieje tylko jedność i wielość. Przecież to jest najprymitywniejsze stadium stosunku do świata! Wybaczcie, ale to jest... to jest stadium zwierzęce. Nawet dzikusy w Australii liczą do pięciu.

Oba delfiny fiknęły koziółka w powietrzu i usłyszałem ich śmiech - był wesoły, nie było w nim urazy. Potem ten nowo przybyły powiedział:

"Czy możesz policzyć fale w oceanie? Czy możesz policzyć rzeczy we Wszechświecie, zmierzyć nieskończoność? Liczenie jest potrzebne dla ruchu ciała, ale nie pozwala duchowi wejść w nieskończoność. A wy przyzwyczailiście się do liczenia wszystkiego i najbardziej cierpicie od tego, co najczęściej liczycie. Chociaż atawistycznie kochacie tylko jedność. Kochacie tylko jedno słońce, a wielości słońc się boicie. Cierpicie, kiedy tracicie jednego człowieka, ale jesteście obojętni przy zagładzie wielu..."

Chciałem zaprzeczyć, ale nagle uświadomiłem sobie, że mają rację. Nie wiem, jak to się stało, ale płynąc w tej swojej międzygalaktycznej nieskończoności... (teraz już nie trzymałem jej pod powiekami, a pływałem w niej z bezcielesną lekkością i rozmawiałem z jednym delfinem, potem z jeszcze jednym delfinem, rozpoznając, że jest on innym delfinem, potem z człowiekiem, którego imienia nawet nie znałem, ale którego kochałem)... krążąc w swojej ciszy - ciemności - przestrzeni, nagle zrozumiałem, że to prawda.

- One znają Kosmos lepiej od nas - wyjaśnił mi tamten człowiek.
- Być może dlatego, że żyją w oceanie, który daje prawdziwsze pierwsze wyobrażenie o Kosmosie. Daje także dostateczną ilość ciepła i pożywienia dla ich ciał, więc ich duch jest wystarczająco wolny.

"Mówią, że kiedyś byliśmy bardzo bliscy - smutnie odezwał się pierwszy delfin. - Ale im bardziej doświadczony i zmęczone stawały się wasze kończyny, tym bardziej nieruchomy i tym prymitywniejszy stawał się wasz duch. Nie wystarcza wam nawet to, że mordujecie się wzajemnie. Chociażby to powinno was zadowalać, tak jak dla niektórych zwierząt największą rozkoszą jest zjadanie swego potomstwa. Czy wiesz, że było nam trudno patrzeć, jak wasze pływające lub latające domy wzajemnie się niszczyły i tonęły w oceanie, a wy stawaliście się pożywieniem dla ryb? Kiedyś chociaż przeciwko nam nie prowadziliście wojny, uznawaliście nas za przyjaciół, ale teraz i nas mordujecie. Dlaczego? Co wam zrobiliśmy? Przecież mięso naszych ciał nie smakuje wam?"

"To też ma związek z liczeniem odpowiedział mu drugi delfin, który niewątpliwie był starszy i bardziej doświadczony. - Liczą, ile istnień nauczyli się zwyciężać, ilość ta wydaje im się niewystarczająca i zabierają się za następne. To się nazywa nienasycenie..." - podpowiedział mi niechętny inną naszą prawdę, więc ją wykrzyknąłem:

- Ono jest nieodłączną cechą ducha! "Cechą ducha, który jest niewolnikiem ciała. Nas także w jakimś stopniu przyroda zmusiła do tego, abyśmy byli niewolnikami prymitywnego ciała, ale nauczyliśmy się wyswobadzać ducha."

- Przecież nie możemy tak jak wy tylko skakać beztrąsko po falach! Jego pouczający ton zaczął mnie drażnić.

"Widzisz tylko nasza ciało, a ciało nie potrzeba nic więcej ponad to, żeby je nakarmić, żeby się rozmnożyło i pobawiło na falach."

- Ludzie również od dawna tak twierdzili - powiedziałem i znów

usiłowałem przypomnieć sobie jakąś prawdę, którą mógłbym mu przeciwstawić.

"W ludzkim mózgu znajdują się te same prawdy, które są w mózgu delfinów, mimo że nasz jest większy. Ale wy nigdy nie wiecie, które z nich są pewne. Bo wy bijecie pokłony liczbom, a liczby to uśmiercanie."

"Teraz znów mózg ich jest większy! Chociaż, zdaje się, że naprawdę jest większy". Ale tego nie powiedziałem, tylko poczułem w sobie i milczałem, bo gorączkowo szukałem swojej prawdy. A on zwrócił się do drugiego delfina:

- "W rzeczywistości przyczyna ich tragedii tkwi w łądzie. Wiesz, na innych planetach też spotykaliśmy podobne istoty. Stojąc na maleńkiej, twardej skorupie ziemi, ludzie prawdopodobnie sądzą, że Wszechświat wokół nich jest pokrywą, której ściany trzeba rozbić, aby wyjść w przestworza. Dlatego też szukają prawd nożem i młotem - rozbijają je, a potem nie rozumieją, że kawałek nie jest całością, że nie jest on już też częścią prawdy, bo jest martwy, że liczba oznacza stagnację, a prawda, którą on im symbolizuje, jest poznawalna tylko wówczas, kiedy jest w ciągłym ruchu."

- Ale my też już wysyłamy ludzi w Kosmos! - powiedziałem.

"Tak, właśnie, wysyłacie! Za pomocą wybuchu i metalu. Dlatego napotykanie tam tylko ogień i lód, pył i gwiazdy. Ponieważ nie chcecie uwierzyć, że przestrzeń jest cechą ducha."

- Tak jak czasoprzestrzeń? - zapytałem, ale przerwałem z egzaltacją: Zmieniać! Powołaniem człowieka jest zmieniać i tworzyć!

"I to zrozumieliście błędnie - odpowiedział. - Wy, tak jak my, możemy zmieniać i tworzyć tylko siebie samych. Tak robią wszystkie rozumne istoty we Wszechświecie, bo on sam bez przerwy tworzy siebie. A wy zajęliście się tym, żeby przystosować materię do swoich ciał i wyobrażając sobie, że jest to przetwarzanie, nie zauważacie, że duch wasz pozostaje ten sam, że

umierają w nim te siły, z których wyłączną pomocą można przeniknąć w rzeczywisty Wszechświat. Chociaż, pojedynczy ludzie wiedzą o tym i spotykaliśmy ich między gwiazdami..."

- Nie wierzę! - krzyknąłem jeszcze była to moja ostatnia prawdo, ale poczułem, że nic innego poza moim głosem we mnie nie zaprzecza.

"Pozostawmy ten spór! - odezwał się drugi delfin: - Czy nie znudziło się wam przebywanie na tym nędznym padole, przyjaciele? Chodźcie, przespacerujemy się. Popatrzcie, jaka piękna noc!".

- Myślę, że to ryzykowne, żeby jechał z nami już pierwszego dnia powiedział tamten człowiek.

- Nie wierzę! - krzyknąłem jeszcze głośniejszym głosem i otworzyłem oczy, aby zobaczyć noc.

Ocean wdarł się z rykiem w moją międzygalaktyczną nieskończoność, połknął ją i znów ogłuszony zostałem jego rykiem i oślepiony blaskiem drogi do Księżyca.

- Wierzy Pan - powiedział człowiek, który stał na skale, opromieniony blaskiem gwiazd.

Stał na krawędzi skały, a żywa masa, nie mająca początku i końca przypląnęła do niego i leżała pokornie u jego stóp

- Teraz już uwierzy Pan do końca powiedział i ruszył w stronę wody. Później schylił się i usiadł.

Ukląkłem i rozpoznałem pod nim długie jak torpedy, lśniące czernią ciała delfinów.

- Zaraz wrócę - powiedział.

Zamknąłem oczy i zacisnąłem pięści, ale w dalszym ciągu czułem tylko chłód i twardość kamienia pod kolanami. Znów spojrzałem. Tamten człowiek siedział z królewskim spokojem, machał do mnie ręką i posuwał się jak Posejdon, z szybkością torpedy, po białej drodze do Księżyca albo do Słońca, albo do środka Wszechświata. Po białej drodze która łączyła obie części

oceanu.

- Nie wierzęęę! - wykrzyknąłem i pognałem w przeciwnym kierunku, w stronę równiny, w stronę ciemności. Nie wierzęęę!

I biegłem, i krzyczałem, aż wybiegłem na szosę, po której przyjechaliśmy. Była to twarda i nieruchoma jak skała szosa ludzi. I prowadziła da blasku neonów, od którego jarzyło się niebo tam, gdzie niżej leżało miasto...

Na drugi dzień, kiedy właśnie się obudziłem I pytałem sam siebie, czy to możliwe, żeby czuć się tak zmordowanym od takich snów, do pokoju wślizgnęła się ta ślicznotka, pokojówka, która zaraz, jak tylko zatrzymałem się w hotelu, powitała mnie niedwuznacznie obiecującym uśmiechem. Ale zdecydowałem, że pokojówki z pewnością nie rozdają hotelowym gościom swych względów bezpłatnie i dlatego z ważną miną odrzuciłem jej próby spoufalania się ze mną.

- Ten list zostawił jakiś pan dzisiaj rano - zaćwierkała familiarnie i wesoło. - A Pan ciągle śpi i śpi.

- My, turyści, zawsze jesteśmy bardzo zmęczeni - warknąłem.

- Tak, wy, turyści; zawsze jesteście bardzo zmęczeni - roześmiała się. Chciałem jej odpowiedzieć coś nie grzecznie, ale zauważyłem firmową kopertę hotelową i zawołałem zaniepokojony:

- Niech mi to Pani da!

Palce ledwo zdołały ją otworzyć tak mocno drżały, bo kto w tym nieznanym mieście mógł do mnie pisać i kto wiedział, że jestem w tym hotelu? Później, po przeczytaniu, widocznie otworzyłem usta lub musiałem sprawiać wrażenie przerażonego, bo dziewczyna zapytała

- Co się stało? Zła wiadomość? Nie mogłem wydobyć z siebie głosu, aby jej odpowiedzieć, tylko machnąłem ręką, żeby odeszła, i zapamiętałem, że ona wyszła tak, jak wychodzi się z pokoju śmiertelnie chorego. Znów przeczytałem list, który brzmiał:

"Drogi przyjacielu, dlaczego Pan nie zaczekał, bardzo się bałem

o Pana. Ale jak się teraz dowiedziałem, że Pan śpi, odetchnąłem. Czy przypadkiem nie zrozumiał mnie Pan źle? Chciałem Panu dać tylko oczywisty dowód na to, w co już Pan przedtem uwierzył. Niech Pan teraz dobrze odpocznie, a jutro wieczorem znów przyjdę, aby Pana zabrać do naszych wspólnych przyjaciół. Bo oni mają Panu do powiedzenia tak dużo rzeczy! Pozdrawiam. Pański X."

Wyskoczyłem jak oszalały z łóżka. Pański X! Pański X! Do diabła, czyżby to wszystko było prawdą? Pozostałem oszołomiony kilka sekund, potem skoczyłem do rzuconych na fotel spodni i wyjąłem portfel. Było w nim jeszcze kilka banknotów, które z trudem mogły starczyć na zapłacenie hotelu. Wyjeżdżać natychmiast! Nawet bez podarunków dla żony! Natychmiast, dopóki nie opanowało mnie całkiem jego szaleństwo! Przeliczyłem je jeszcze raz i jeszcze raz. I liczyłem je, wymyślając sobie:

- Kretyn skończony! Idiota! Naiwniak! Z tej idiotycznej historii nie będziesz mógł nawet wycisnąć pieniędzy, które wydałeś na taksówkę!